świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

NR 90 (2290) | PIĄTEK 9 listopada 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

„TŁUŚCIOCH" z Domu Pioniera

Żaden z mieszkańców miasta Ostrow, niedaleko Pskowa, nie dziwi się, gdy idąc rano do pracy spotyka na ulicy lub na miejskim skwerze bociana. Ptak ten, zwany „tłuściochem", jest niemal honorowym mieszkańcem miasta. Został on zeszłej jesieni znaleziony ze złamanym skrzydłem i oddany „na wychowanie" do tamtejszego Domu Pioniera. Gdy dzieci wypuściły wiosną wyleczonego ptaka na wolność, bocian nie chciał odlecieć i pozostał na stałe w mieście.

„Tłuścioch" bardzo lubi dzieci i chętnie tańczy dla nich „bocianie tańce". Wystarczy tylko zagwizdać skoczną melodię. (jk)

Z TAJEMNIC II WOJNY ŚWIATOWEJ

POGROMCA MGIEŁ

Lata trzydzieste naszego wieku to jeszcze w dziejach lotnictwa okres pionierski. Lotnik, który wystartował, nie był nazbyt pewny czy wyląduje. Zwykła chmura mogła spowodować katastrofę.

— Oczywiście nie każda. Są jednak chmury oziębione poniżej zera, ba, nawet do minus 50 st. C. — mówi profesor doktor Józef Mazur, światowej sławy badacz chmur i mgieł. — Jeśli samolot poleci dłużej w takiej chmurze, maleńkie kropelki wody, które je tworzą, osiądą na nim w postaci kryształków lodu. Pod ciężarem grubej lodowej pokrywy może odpaść skrzydło. A to już koniec. Co gorsza, te niebezpieczne chmury trafiają się w każdej porze roku.

Spostrzeżenia profesora potwierdza generał pilot Stanisław Skalski, ak lotnictwa myśliwskiego, autor „Czarnych skrzydeł nad Polską", człowiek, który zestrzelił 22 nieprzyjacielskie samoloty.

— Ta przygoda zdarzyła mi się 2 października 1933 roku. Leciałem około 20 minut w chmurze. Nagle poczułem, że nie panuję nad maszyną. Dodaję gazu, a tracę prędkość. Samolot jakiś dziwnie ociężały. W pierwszej chwili nie wiedziałem co się stało. Trzeba było natychmiast lądować. Za moment nie widziałem już nic. Lód zakleił przednią szybę.

C.d. na str. 5

Salam-alejkum BAKU

Korespondencja własna z Azerbejdżanu

Na mapie tegorocznych zagranicznych wypraw reporterów naszej gazety znalazł się wypad do dalekiego Azerbejdżanu, jednej z zakaukaskich republik radzieckich, leżącej nad największym jeziorem świata, zwanym Morzem Kaspijskim graniczącej na południu z Turcją i Iranem... Daleki południowy kraj, znany ze szkolnych podręczników jako kraj nafty, bawełny i pięknych zabytków minionych epok, kraj gór i morza, południowych owoców i ludzi słynących z tradycyjnej wschodniej gościnności. Dla reportera — sezam tematów, wrażeń, może przygód...

Nocny lot

„Sezamie, otwórz się!" — To zdanie wpisuję do swojego notatnika zajmując miejsce w samolocie IŁ-18, który w ciągu czterech godzin pokona trasę z Moskwy do Baku, liczącą ponad dwa tysiące kilometrów.

Nocny lot. Pod skrzydłami samolotu znikają ostatnie paciorki oświetlonych podmoskiewskich ulic i osiedli. Część podróżnych zasypia w wygod-

C. d. na str. 3

Pierwszy polski stutysięcznik

DZIEŃ 16 PAŹDZIERNIKA 1973 ROKU stał się jedną z ważniejszych dat w historii polskiego przemysłu okrętowego, podobnie jak data wodowania pierwszego po wojnie statku — rudowęglowca „Sołdka". Tego właśnie dnia, położono stępkę pod pierwszy polski 105-tysięcznik. Fakt ten otwiera nowy rozdział w liczącej 50 lat stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Nasz przemysł stoczniowy jest więc od lat w czołówce światowej. Polskie statki kupuje m.in. Francja, Norwegia, NRF, ZSRR.

Wodowanie 105-tysięcznika nastąpi już w pierwszym kwartale przyszłego roku.

Na zdjęciu: gigantyczny suchy dok, w którym powstaje nowy kolos. (h)

BUDUJEMY NOWY DOM...

W obecnej chwili dysponujemy ponad 7 milionami mieszkań. Nie wszystkie one jednak mają wyposażenie takie, jakie chcielibyśmy, aby miały. Nadal połowa mieszkań w miastach nie ma łazienek i ustępów spłukiwanych wodą, jedna czwarta obywa się bez wodociągów. Na wsiach zaś dopiero zaczynamy budować mieszkania z pełnym wyposażeniem...

Aby zaspokoić nasze rosnące wciąż potrzeby w tym względzie, w ciągu najbliższych dwudziestu lat (1971—1990) musimy zbudować drugie tyle mieszkań, ile już mamy, oczywiście nowoczesnych, większych niż obecne, lepiej wyposażonych. Jest to zadanie ogromnie ambitne, tym bardziej, iż nie dysponujemy jeszcze przemysłem mieszkaniowym i musimy go tworzyć równolegle z realizacją tego zamierzenia.

W jaki sposób mamy zamiar ten zrealizować przeczytacie poniżej.

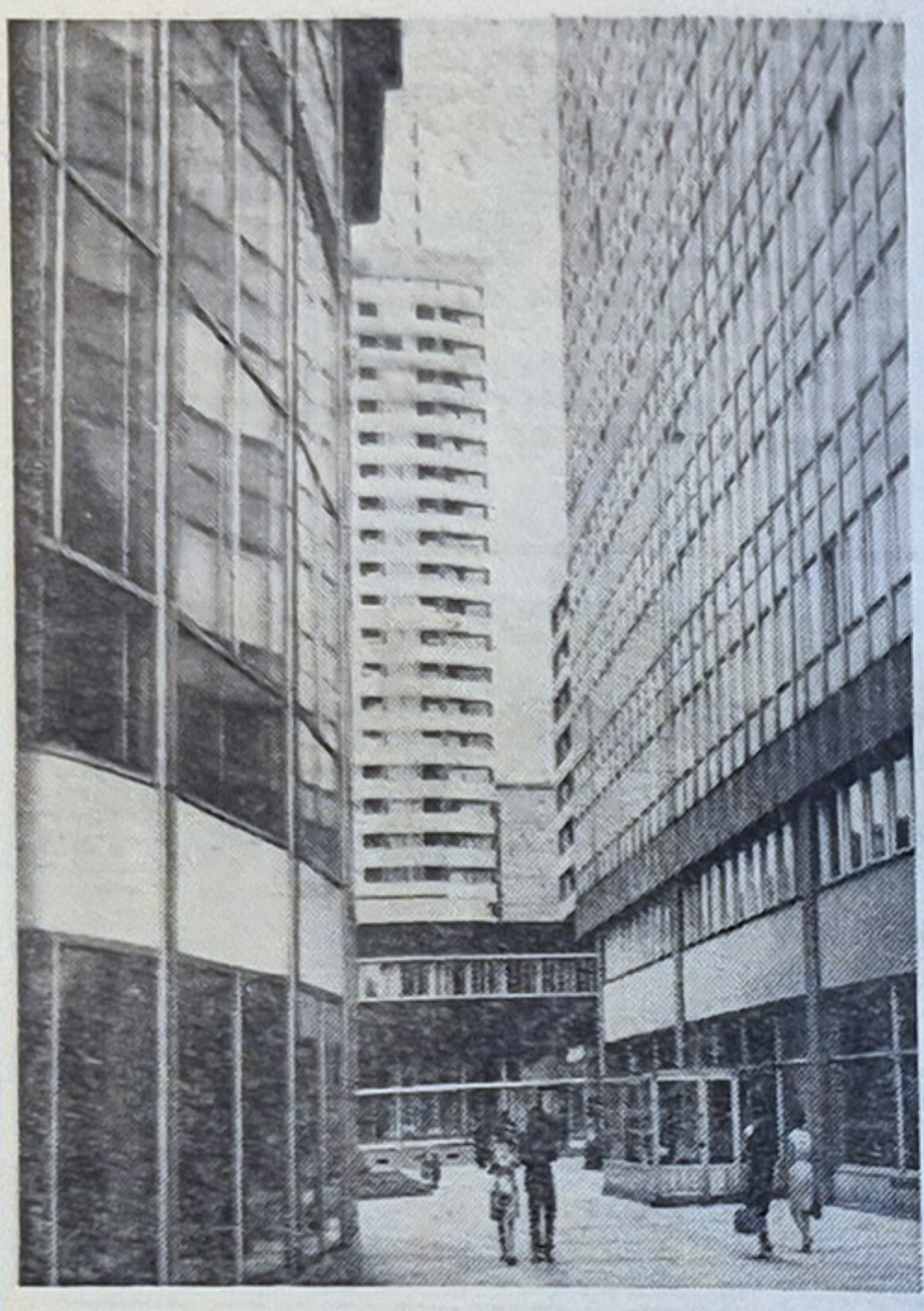

OSTRY START

OCZYWIŚCIE rozbudowa przemysłu mieszkaniowego nie może odbywać się przy pomocy metod i środków stosowanych dotychczas. Wystarczy powiedzieć, iż na postęp w dziedzinie tego przemysłu przeznacza się niewyobrażalną wprost sumę 100 miliardów złotych! Powstaje Centralny Ośrodek Badawczy Materiałów i Wyrobów Budowlanych. Ośrodek ten będzie kierował rozwojem całego przemysłu mieszkaniowego w różnych branżach, będzie przeprowadzał badania m.in. nad wprowadzaniem do budownictwa nowych tworzyw, materiałów i gotowych wyrobów czy też nowych metod zarządzania i produkcji.

Organizuje się giełdy pomysłów i wynalazków w dziedzinie budownictwa. Ostatnio była taka w Warszawie. Giełda to coś w rodzaju spotkania wynalazców i nowatorów ze wszystkimi, których interesuje postęp. Na giełdzie warszawskiej zaprezentowano m.in. np. płyty gipsowe oklejane... fornirem lub papierem imitującym drewno. Płyta taka wygląda jak deska i można z niej zrobić prawie wszystko to samo co z drewna. Pokazano też nowe typy krycia dachów, łączenia różnych elementów budowlanych, czy wytwarzania detali. Przedstawiono piękne okładziny zewnętrzne — zamiast tynków, lub wewnętrzne — ozdobne. Oczywiście było również moc usprawnień działania różnych maszyn i urządzeń budowlanych.

W Katowicach otwarto wielką wystawę przemysłu budowlanego. Pokazano tam pierwsze mieszkania wykonane w nowych wytwórniach Wz-75, oraz wiele wyrobów, które już mamy, którymi dysponuje świat, które sami wkrótce będziemy wytwarzać.

A więc startujemy pełną parą, teraz tylko od nas samych zależy czy potrafimy dotrzymać kroku w marszu ku nowoczesności.

SZYBCIEJ I NOWOCZEŚNIEJ

W ROKU BIEŻĄCYM oddano do eksploatacji 12 nowoczesnych wytwórni elementów budowlanych. Każda z tych wytwórni — niektórzy nazywają je „fabrykami domów" — wytwarza rocznie tyle tych elementów, że można z nich zmontować 2100 mieszkań. Owe „fabryki domów" oznaczone symbolem Wz-75 pracują wg technologii zakupionej za granicą w firmie Kesting, i w przyszłym roku 1974 wybudujemy ich jeszcze 28.

Fachowcy obliczają, iż około 1975 roku będziemy już mogli rocznie oddawać do użytku około 100 tys. gotowych mieszkań wyprodukowanych tym i podobnymi systemami, a w 1980 roku — 200 tys. Równolegle będzie się budowało tradycyjnie z tym, że będziemy musieli przyspieszyć, i to znacznie, wprowadzanie do budownictwa najnowocześniejszych materiałów i prefabrykatów. Niektóre z nich jak np. płyty ocieplające z wełny mineralnej, zespolone szyby czy wyposażenia kuchni z blachy stalowej nierdzewnej — już mamy do dyspozycji. Inne, np. płytowe grzejniki centralnego ogrzewania, stolarka drzwiowa i okienna z tworzyw sztucznych czy rury do gorącej wody z polibutenu — zaczniemy wytwarzać już w roku przyszłym.

MURY JUŻ STOJĄ I CO DALEJ?

Dawniej mieszkanie oddane do użytku to był właściwie dach, otynkowane mury, zaszklone okna, podłoga z płytek PCW lub drewnianych, najprostsza łazienka i piecyk kuchenny. Wymagania jednak rosną: obecnie w nowym mieszkaniu życzymy sobie mieć wbudowane w ściany szafy, wykładane kafelkami łazienki, a marzą się nam wodoodporne zmywalne tapety zamiast malowanych ścian, wewnętrzna klimatyzacja, idealnie wyciszone stropy i ściany, miękkie wykładziny podłogowe, piękne kolorowe łazienki i wiele innych nowości, o których w świecie coraz głośniej.

Samodzielne mieszkanie — dziś jeszcze szczyt marzeń wielu Polaków — staje się dla tych, którzy je już mają, czymś w rodzaju skarbonki bez dna. Jest to zresztą zgodne z tendencjami na całym niemal cywilizowanym świecie. W strojach zaczyna obowiązywać pewna nonszalancja, dowolność; nie przywiązuje się już takiej wagi jak niegdyś do modnego ubioru, natomiast mieszkanie, jego wygląd, świadczą o właścicielu.

I tutaj właśnie przed naszym przemysłem mieszkaniowym otwierają się ogromne możliwości. Wszystko co może nasze dość skromne dotąd mieszkania ozdobić czy unowocześnić — zacznie być wkrótce coraz bardziej poszukiwane. A więc nowe typy kuchni i piekarników gazowych częściowo zautomatyzowanych (już produkujemy — najwyższy poziom światowy!), różne rodzaje lodówek, kolorowe telewizory, roboty kuchenne, różne nawilżacze powietrza, wiatraczki, wykładziny dywanowe, meble coraz to nowszych wzorów, aluminiowe zasłony do okien i wiele, wiele innych.

Wszystko to ludzie kupią byle tylko było tego wszystkiego pod dostatkiem w sklepach, a wprowadzenie każdego nowego artykułu z tej branży zostało poprzedzone odpowiednią reklamą i informacją dostępną każdemu.

GDZIE BUDOWAĆ?

Banalna to prawda, że aby zbudować dom trzeba dysponować odpowiednim terenem. Wszyscy również wiedzą, że domy — szczególnie wysokie bloki — nie wszędzie można stawiać. Na niektórych terenach koszty budowy tak wzrastają, że po prostu nie opłaca się rozpoczynać tam prac.

Drugą sprawą jest tzw. uzbrojenie terenu. Duży dom mieszkalny nie może stanąć w szczerym polu, choćby sam grunt był tam odpowiedni. Ludziom potrzebna jest przecież kanalizacja, elektryczność, gaz, kable telefoniczne, drogi, chodniki, nie mówiąc już o sklepach, szkołach, żłobkach, poczcie, urzędach itp. A więc budownictwo mieszkaniowe, to nie tylko stawianie domów, w których są mieszkania...

W tej chwili w naszym kraju jest coraz mniej terenów uzbrojonych, mówi się o „ostrym ich deficycie". Po prostu budujemy szybko i dużo mieszkań, tereny pod budowy się kurczą, widać to najwyraźniej w dużych miastach, gdzie nowe osiedla powstają coraz dalej od centrum, nieraz na dalekich peryferiach. Osiedla takie są o wiele droższe od tych, które powstają blisko centrum.

A więc jednym z najpoważniejszych problemów stojących przed budownictwem mieszkaniowym jest brak owych terenów uzbrojonych. Wiąże się z tym jeszcze inna sprawa, czasami bardzo przykra. Stare budownictwo musi ustępować nowemu. Trzeba więc dość często burzyć domy, aby na ich miejsce stawiać nowe. Czasami są to rozsypujące się ze starości, prymitywne domki, których właściciele w gruncie rzeczy zyskają po przeniesieniu się do bloków. Ale czasami dochodzi do zadrażnień, nawet tragedii osobistych, szczególnie u ludzi starszych...

Wydaje się, iż tylko takt i bardzo wnikliwe przeanalizowanie każdej decyzji o wyburzeniach może ten problem załagodzić. Budować bowiem trzeba.

Opracował:
JERZY DĄBROWSKI

Salam alejkum BAKU

C.d. ze str. 1

nych fotelach, ukołysana monotonnym szumem maszyny. Z kabiny pilotów co chwila padają informacje przez pokładowe radio o przebiegu lotu. Jest godzina 22.15. I kolejna informacja — przelatujemy właśnie nad Wołgogradem — miastem bohaterem, słynnym z wielkiej bitwy zwanej stalingradzką.

— Już połowa drogi za nami — mówi Władek Czukanow, mój przyjaciel z „Pionierskiej Prawdy", który towarzyszy mi w tej reporterskiej wyprawie. — Niedługo znajdziemy się nad Azerbejdżanem — dodaje — i póki co, nauczmy się paru słów po azerbejdżańsku.

— A ty znasz ten język? — pytam zdziwiony.

— Nie, ale na pokładzie samolotu jedna ze stewardess jest Azerbejdżanką, poprosimy ją.

Dobry wieczór, Aido

AIDA ASŁANOWA, to śliczna dziewczyna o czarnych włosach i ogromnych czarnych oczach. Z miłym uśmiechem zajęła miejsce między nami. Na moje powitanie „dobry wieczór", odpowiedziała: „achszamyz cheir". Błyskawicznie notuję ten zwrot w notesie. Za niecałą godzinę będę w ten sposób witał nowych przyjaciół z redakcji „Azerbejdżan Pionieri" w Baku.

— A jak jest „dzień dobry"? — zwracam się do Aidy.

— Salam alejkum...

— Do widzenia? — Sachoł.

— Bardzo dobrze? — Czoch jachszy.

— Dziękuję? — Sachoł.

— Powiedz nam, Aido, coś o sobie, o swojej pracy...

— Mieszkam w Baku, przed rokiem spełniło się moje marzenie — zostałam stewardessą. Latam po całym Związku Radzieckim. Nielekka i niełatwa, wbrew pozorom, jest to praca. Ale ciekawa. Zawsze marzyłam o podróżach, o poznawaniu świata.

— Co, Aido, radzisz mi obejrzeć w Baku?

— Koniecznie tereny naftowe w Zatoce Bakińskiej, Pałac Szirwanszachów, Dziewiczą Wieżę, bulwar bakiński, Muzeum Historyczne Azerbejdżanu.

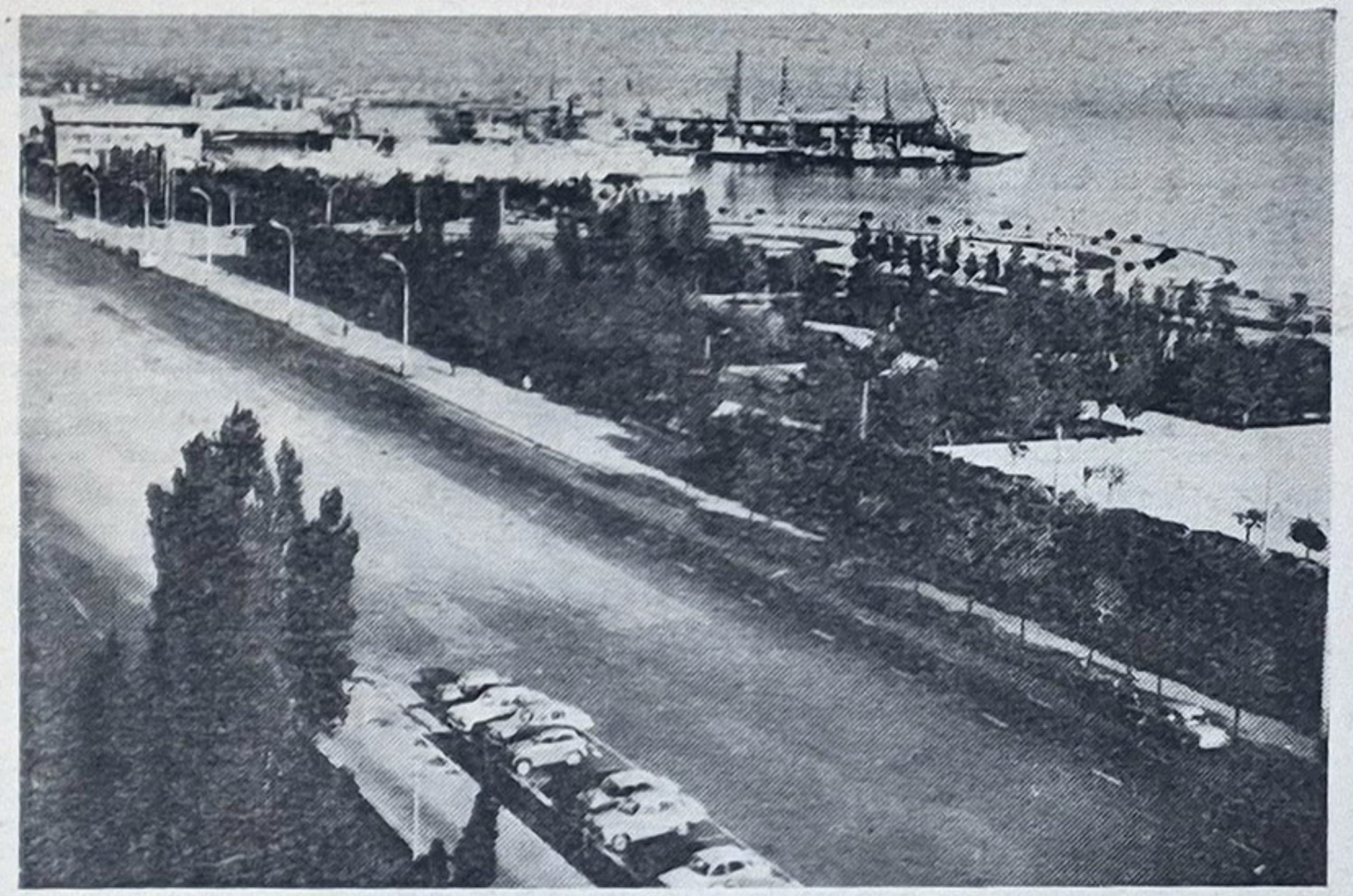

Nadmorski Bulwar z widokiem na Zatokę Bakińską i port.

— Sachoł, Aido — dziękuję... A może Ty masz jakieś życzenie? Aida chwilę się zastanawia. — Ależ tak! Proszę pozdrowić polskie dziewczęta z zespołu „Ali Babki", które niedawno leciały na pokładzie naszego samolotu do Baku.

— Czoch sachol, Aido!

Miasto Wiatrów

SAMOLOT schodził do lądowania. Pod nami srebrzyło się w świetle księżyca Morze Kaspijskie, w oddali gorzało łuną świateł Baku.

Ale oto już jesteśmy na ziemi. Jeszcze chwila i schodzimy po schodkach na płytę lotniska. Wita nas szalony, huraganowy wiatr. Wiatr, który zrywa podróżnym płaszcze, gnie do ziemi rosnące wzdłuż ogrodzenia lotniska, drzewa, porywa walizki z wózka towarowego...

Bezwiednie chwytam pod rękę Władka Czukanowa, żeby oprzeć się porywom huraganu. Zmierzamy, zgięci wpół, do poczekalni. Nagle zjawia się przy nas Aida.

— Zapomniałam poinformować — mówi przekrzykując świst huraganu — że nazwa Baku oznacza Miasto Wiatrów. Wieją tu one bardzo często, z północy, i noszą nazwę chazri lub nord. To one opóźniły nasz przylot. Zamiast o dwunastej w południe, wylecieliśmy z Moskwy, jak sami wiecie, o dwudziestej wieczorem. Wcześniej lotnisko w Baku nie przyjmowało żadnych samolotów...

To znaczy, że był jeszcze większy wiatr? Czy można sobie coś większego wyobrazić?

— Jutro będzie piękna pogoda — przepowiada Aida. — Sachoł — do widzenia!

Spoglądam na zegarek. Jest godzina 0.45. A więc to już dziś. Mogę zatem powiedzieć:

— Salam alejkum Baku...

JERZY KASPRZAK
Foto autora

HIPOPOTAM U DENTYSTY

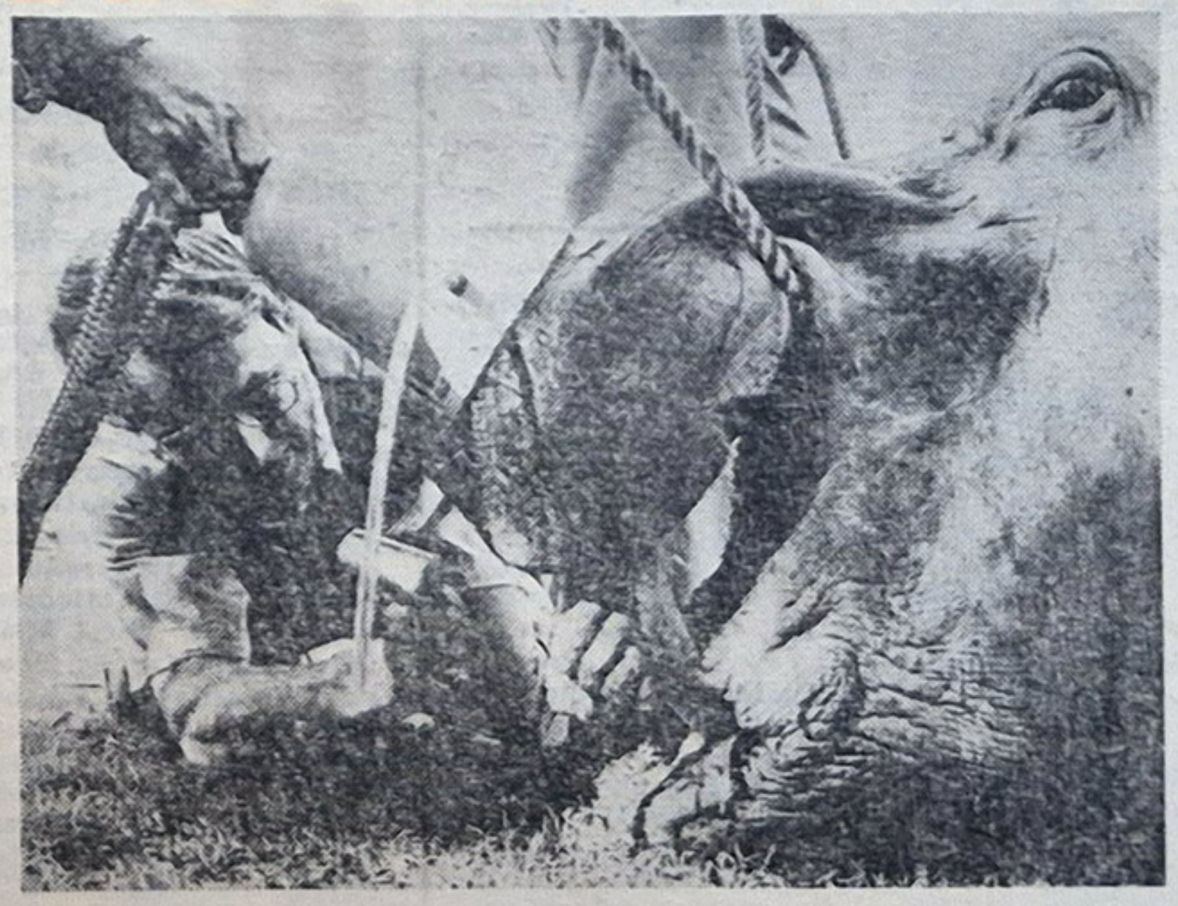

W tym wypadku rolę narzędzi chirurgicznych spełnia młotek i swego rodzaju dłuto. Doktor Canon z Teksasu w USA ma nie lada kłopot z usunięciem zęba dwutonowemu hipopotamowi. Bez narkozy zabieg ten byłby bardzo utrudniony. Górną szczękę pacjenta, jak widać na zdjęciu, podtrzymują grube liny. Tylko jak sobie „Wielki Daddy" poradzi z jedzeniem bez przedniej dolnej „jedynki".

Foto: CAF

KROKODYL U OKULISTY

Krokodyl z kijowskiego ZOO nie należy do olbrzymów. Jego długość wynosi 3 metry, a ciężar „zaledwie" 300 kilogramów. Ostatnio zauważono, że nad oczami zwierzęcia utworzyły się duże narośla, które ograniczają jego pole widzenia. Trzeba było zasięgnąć porady lekarskiej. W ten sposób krokodyl dostał się na stół operacyjny. Weterynarz, zwłaszcza w ZOO, musi być specjalistą z różnych dziedzin — internistą, chirurgiem, okulistą. Krokodyla operował docent Ukraińskiej Akademii Rolniczej S. Batiucha, w asyście starszego weterynarza ZOO W. Tarana. Zabieg trwał ponad godzinę. Pacjent czuje się dobrze. **(jk)**

Reprezentacyjna „GAWĘDA"

ZACZĘŁA SIĘ ta zabawa w teatr z górą 20 lat temu. Było ich wtedy trzynastu. Nie mieli własnego dachu nad głową, za to w głowie pełno pomysłów. Młodych zapaleńców teatru przygarnął w tym trudnym początkowym okresie Młodzieżowy Dom Kultury na Targówku. Później, gdy powstał Pałac Młodzieży, stali się jedną z jego sekcji, nietypową, bo i sam zespół jest niezwykły. Przedstawienia „Gawędy" nie są podobne do występu żadnego innego zespołu artystycznego w Polsce. Każdy ich program to poezja ruchu, światła i dźwięku.

Trudno zresztą w kilku słowach opowiedzieć na czym polega urok „Gawędy". Jest w niej coś, co zmusza widza do optymizmu, uśmiechu, dobrej zabawy. Widziałem kilka ich występów i każdy był inny, mimo że niektóre punkty programu powtarzały się. Jest to wielka sztuka, którą „Gawędziarze" opanowali do perfekcji.

Ostatni swój występ (29 października br.) w sali im. Młynarskiego w Teatrze Wielkim zatytułowali „Gawędy o minionych wakacjach". I znowu wszystko było inaczej niż zawsze. Występ zaczął się od... poczęstowania całej widowni ptysiami własnego wypieku. A później oglądaliśmy ich wakacje. Piosenki i tańce przeplatały się z wspomnieniami, pisanymi często w pociągach, na dworcach, w autobusach. W ciągu bowiem paru tygodni kilka razy przemierzyli Polskę wzdłuż i wszerz: Chorzów, Frombork, Olsztyn, Warszawa, Kraków, znowu Frombork — to miasta etapowe ich artystycznego tournée. Byli zmęczeni, ale i szczęśliwi z tak pracowitego lata.

Występ zakończył się miłą dla widzów, a szczególnie dla zespołu uroczystością. Oto Naczelnik ZHP dh Stanisław Bohdanowicz odczytuje ze sceny decyzję Głównej Kwatery ZHP nadania „Gawędzie" tytułu „Reprezentacyjnego zespołu artystycznego ZHP". Możecie sobie wyobrazić co się po tym działo na scenie. Gratulacje, uściski, pocałunki, łzy.

Niełatwa była droga „Gawędy" do tego zaszczytnego tytułu. 20 lat pracy, blisko 5 tysięcy występów w kraju i za granicą. Trud kilku pokoleń „Gawędziarzy", został nagrodzony. Wszystkim tym, którzy już odeszli z zespołu, a przede wszystkim tym, którzy w nim aktualnie pracują, a także twórcy „Gawędy" Andrzejowi Kieruzalskiemu „Świat Młodych" składa serdeczne gratulacje i śpiewa dla Nich sto lat!

(bor)

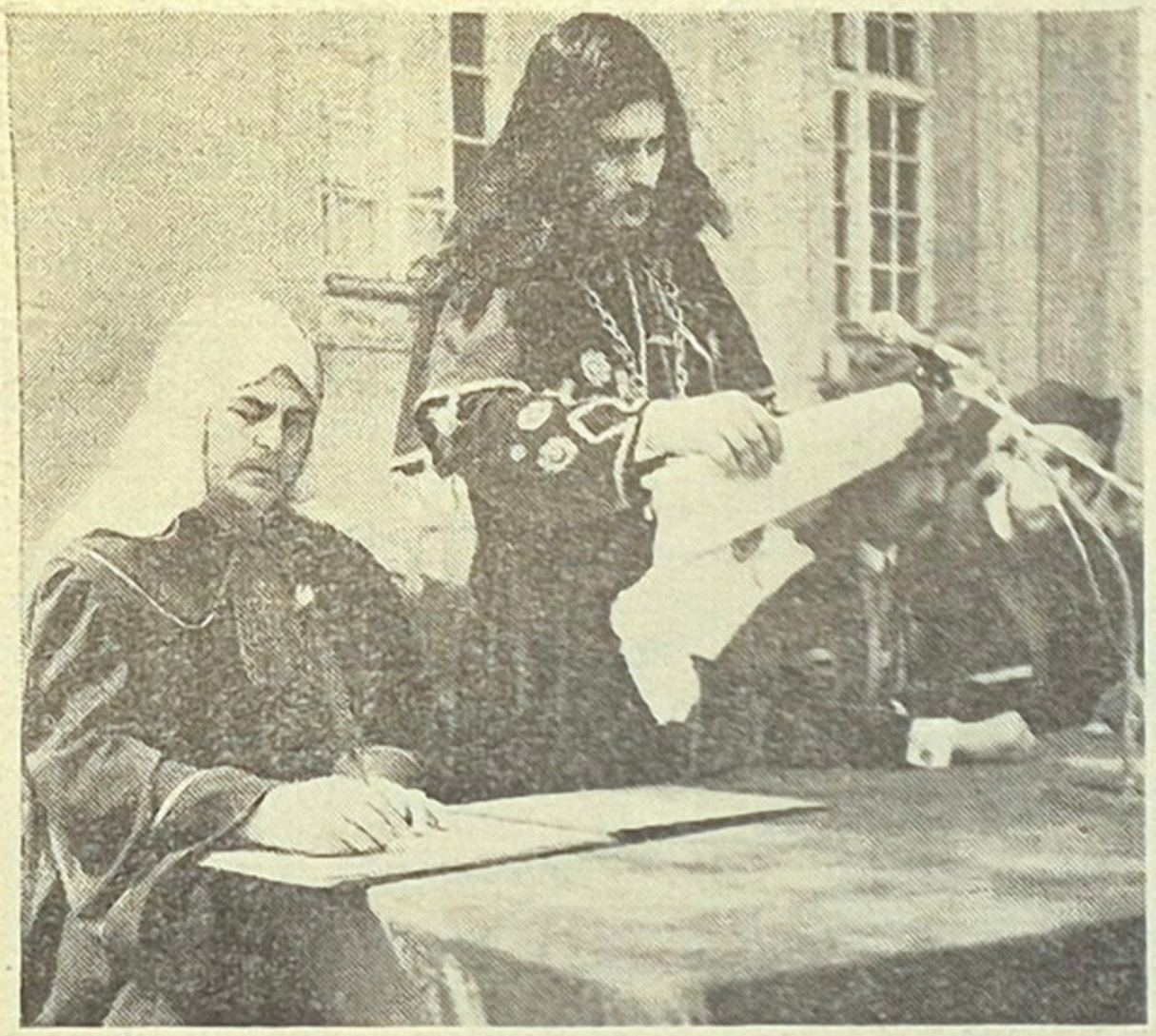

Wójt Świdwina wezwał pod broń mieszkańców — tym razem do bezkrwawej walki.

WOJNA O ROGI

ODBYWA się rokrocznie latem na ziemi koszalińskiej między dwoma miastami Białogardem i Świdwinem. Sam dzień tej bezkrwawej bitwy, której współcześnie nadano charakter atrakcyjnego turnieju, poprzedzają hasła obnoszone na transparentach, a świadczące o wojowniczych nastrojach mieszkańców obu miast. Np. **„Chciałbyś krowy, panie bracie, a czy choć oborę macie?"** lub **„A my krowy nie oddamy, bo ją jedną tylko mamy"**, czy **„Krowich rogów nie stracimy, z nimi do domu wrócimy"**.

Główną bohaterką wydarzeń jest więc poczciwa krasula, od której cała ta współczesna zabawa się zaczęła, a która niegdyś była przyczyną krwawego zdarzenia. Jak wspominają miejscowi kronikarze, działo się to w 1469 r. Czasy owe były wyjątkowo niespokojne, szczególnie na ówczesnym pograniczu między Pomorzem Zachodnim, a tzw. Nową Marchią, sprzedaną przez Zakon Krzyżacki w 1454 r. Branderburgii za 100 tys. talarów reńskich, które zostały przeznaczone na wojnę z Polską. Branderburczycy pożądliwie spoglądali w stronę naszego Pomorza Zachodniego, gotowi w każdej chwili wbrew układom zawartym w Myśliborzu wszcząć wojnę i zagarnąć dla siebie pograniczne miasta. Jeden z takich właśnie granicznych zatargów odnotowano w historii jako „wojnę krową", która... Ale oddajmy głos świdwińskiemu kronikarzowi:

„Chytrogarni kmiecie grodu granicznego Białogardu pojmali i spośnikowali krowę biodratą ratajowi świdwińskiemu, którego urągliwie obdarowali racicami i rogami, a na przykładkę oddali mu wymię i ogon ku złorzeczeniu mu okrutnemu. Mówili takoż obelżywie i urągliwie o grodzie naszym..." Obelgi te uraziły dumnych świdwinian tak dotkliwie, że postanowili się krwawo zemścić. Wójt Świdwina wezwał pod broń mieszkańców i zbrojny oddział dowodzony przez jego syna Krzysztofa Polęckiego 15 lipca 1469 r. przekradł się przez granicę i na zaskoczonych białogardzian uderzył.

„Wiechcie jeno leciały z puklerzy i głów tych, co śmieli bluźnić grodowi naszemu. 300 ścierzwów zaległo tedy pole, a Krzysztof z chorągwią zdobyczną 10 jeńców i 60 wozów łupów prowadząc, na podwórzec zamkowy triumfalnie wjechał zwycięstwo fetować, sam poczesnego osła ujeżdżając za pozwaną krowę darowanego" — zanotował kronikarz.

Drogo więc kosztowała wówczas białogardzian jedna nieprawnie „spośnikowana" krowa. To, co działo się przed 504 laty, odnotowano obecnie w barwnym widowisku na zamkowym dziedzińcu w Świdwinie.

Dla przypomnienia onych XV-wiecznych **„czasów warcholnych, burmistrze zwaśnionych niegdyś grodów organizują bezkrwawe obnowienie"**. W wilię wydarzenia na podzamczu zaplonęło tedy przedbitewne ognisko dla „artmujących się wojów, mieszczan i przychodźców". W dniu sądnym miast mieczów i włóczni gońce, a mieszkańcy obu grodów siłę i rozum swój zaprzęgając, turniej uczynili ku radowaniu się tak mężów i matron statecznych, jak pospólstwa i gawiedzi. Po igrcach owych biesiada wielka wydana była, a pląsy i gody trwały do białego zaranka. Jako jeden z owej gawiedzi był tam wasz reporter, który wszystko dokładnie opisał i sfotografował. A więc kto żyw, ochędożywszy się barwnie, z wspomnianymi na wstępie transparentami żwawo bieżył, by cuda owe podziwiać, a strony obie do walki umyślnej zagrzewać. W oczekiwaniu turnieju tłum kibiców z obu miast zebrał się znaczny, bowiem nie tyle o krowie rogi, co o honor miast chodziło. Po sygnale z wież zamkowych rozpoczynającym turniej, jako pierwszy rycerz z Białogardu strącił „konia" reprezentanta Swidwina lecz później świdwinianie zwyciężyli w udoju krów, w konkursie prządek, w strzelaniu z łuku, w ścinaniu toporem, w rzucie cszczepem, w turnieju poetyckim. Remisowo zakończyły się konkurencje robienia na drutach krawatów i demonstrowania postaci Kopernika. Ogólne zwycięstwo przypadło tym razem Świdwinowi, który w nagrodę przejął ozdobne krowie rogi. Białogardzianie pogodnie przyjęli tegoroczną przegraną. Wierząc, że w następnym roku rogi odbiorą, obnosili transparent z hasłem: „W Białogardzie tłusty wikt tu nie zadba o mnie nikt". Na taki zarzut świdwinianie zapewne poczują się obrażeni i znów będzie powód do nowego zatargu, który w formie turnieju zostanie rozstrzygnięty za rok na rynku w Białogardzie.

Rozbawiony pochód przebierańców na ulicach Świdwina.

Tekst i zdjęcia: MAREK KALINOWSKI

Ogólne zwycięstwo przypadło tym razem Świdwinowi, który w nagrodę przejął ozdobne krowie rogi.

Ciekawe

Gdy dziewczyny piłkę kopią...

U nas to się nie zdarza. W Czechosłowacji zaś dziewczęta grały w piłkę nożną już przed wojną. Pierwsze futbolowe drużyny kobiece powstały w Brnie na Morawach w 1938 roku. W tym samym roku tą dyscypliną sportu zainteresowały się dziewczęta z Pragi. W 1966 roku inicjatywę podjął młodzieżowy tygodnik „Swet Mladeże" i w miesiąc po jego apelu zgłosiły się na boiskach kraju 34 jedenastki dziewczęce. W rok później na mecz futbolowy kobiet Sparty i Slavii w Pradze przyszło 11 tysięcy kibiców obojga płci. Obecnie w 110 klubach gra 10 tysięcy piłkarek. (jk)

Chłopcy do rondla!

W Danii uczniowie jednej ze szkół koedukacyjnych zwrócili się z prośbą, by mogli na równi z dziewczętami uczestniczyć w kursie gospodarstwa domowego, przeznaczonym dla ich koleżanek.

Inicjatywa ta jest charakterystyczna dla wielu współczesnych chłopców, którzy coraz częściej zdani są na własne umiejętności w życiu codziennym. Wielu, zamiast puszki konserw czy posiłku spożytego w barze, woli przyrządzić sobie coś smacznego własnoręcznie. (jk)

POGROMCA MGIEŁ

C.d. ze str. 1

Zdążyłem. Udało się. Ale gdy dotknąłem pasa startowego, maszyna cała zadrżała. To pod wpływem wstrząsu oderwały się od niej potężne bryły lodu. W podobnej przygodzie zginął przed wojną jeden z moich kolegów. Nim zdążył wylądować, lód oderwał skrzydło.

Dziś mamy skuteczne środki chemiczne przeciw oblodzeniu samolotów. Ale wtedy...

— Wtedy, w czasie wojny — opowiada profesor Mazur — trzeba było przebadać każdą chmurę na trasie przelotów. To było bardzo ważne dla bombowców! Do wielkich powierzchni ich skrzydeł i kadłubów mogły przecież szybko przylgnąć setki kilogramów lodu, a ciężki bombowiec z takim dodatkowym ładunkiem nie wyszedłby cało z chmury.

BŁYSKAWICZNE BADANIA

Codziennie wczesnym rankiem wylatywałem specjalnym samolotem zaopatrzonym w impaktor — wspomina profesor. — Był to przyrząd do pobierania próbek chmur. Wystawialiśmy go za okno kabiny i odsuwaliśmy okrywę impaktora. Na szkiełko pokryte specjalną substancją chwytaliśmy (w ściśle określonym czasie) porcję kropelek tworzących daną chmurę.

Po wylądowaniu próbki niezwłocznie przewoziliśmy do laboratorium. Tam czekały już przygotowane mikroskopy i ekipa ludzi, którzy pod powiększeniem badali wielkość, ilość i rozmieszczenie kropelek.

Przekonaliśmy się, jak bardzo bywa chmura chmurze nierówna. Niektóre składały się z kropelek o średnicy 1 mikrona (tysięcznej części milimetra), inne tworzyły kropelki 100 razy większe. Szybko nauczyliśmy się odróżniać niewinne obłoczki od groźnych chmur lodowych. W kilka godzin po wylądowaniu naszego samolotu — zanim jeszcze te chmury zdążyły się wypadać — mogliśmy ogłosić ostrzegawczy komunikat.

— W czasie wojny w powietrzu nie było bezpiecznie. Gdy sytuacja była szczególnie groźna, towarzyszyła nam eskadra myśliwców. Największa przygoda zdarzyła się nam jednak pewnego spokojnego dnia. W potężnej chmurze o mało nie wpadliśmy na zbłąkany niemiecki myśliwiec. Zaskoczenie było obustronne. Ale Niemiec szybko odzyskał przytomność umysłu i otworzył ogień. Odpowiedzieliśmy mu z naszych działek pokładowych. Nie wdając się jednak w dłuższą strzelaninę ratowaliśmy się ucieczką. I my i zebrane tego dnia próbki wyszły cało z tej opresji.

Niemcom także sprawiało kłopot oblodzenie samolotów. I oni prowadzili — podobnie jak my — rozpoznanie chmur. Po wojnie napisał do mnie uczony, który badał chmury na zlecenie hitlerowskiej Luftwaffe. Przyznał, że moje metody były lepsze. Nam nie wymykały się kropelki o średnicy jednej tysięcznej milimetra.

MGŁA JAK KONIEC ŚWIATA

Oblodzenie kończyło się zazwyczaj śmiercią samolotu. Ale jeszcze groźniejsza dla floty powietrznej jest mgła, a już najgorszą sławą cieszy się mgła angielska. Do dziś źle wspomina ją generał Skalski.

— Pamiętam jak jednego dnia wylądowaliśmy na obcym angielskim lotnisku, bo nie zdążyliśmy wrócić do bazy. Przez tydzień nie mogliśmy się stamtąd wyrwać. Mgła była tak gęsta, że aż żółta. Wyciągniętej ręki nie było widać. Ludzie bali się wychodzić z pomieszczeń, bo już z odległości 200—300 metrów trzeba się było nawoływać jak w lesie. Wilgoć, cisza, martwota i lęk. Tak chyba wyglądać będzie koniec świata.

Co gorsza, taka biała poduszka spadała na wyspę szybko i niespodzianie. Za nieprzewidziane kaprysy angielskiej pogody odpowiedzialny jest Atlantyk, a z nim nigdy nic nie wiadomo...

Kropelki chmury cumulus powiększone 120 razy

Na domiar złego sytuacja strategiczna Wielkiej Brytanii nie była korzystna. Jest przecież długa, wąska i łatwa do zaatakowania z powietrza. Niemcy startowali z północnej Francji czy z Holandii i cały (niedługi zresztą) czas lecieli nad morzem. W zasięgu naszej artylerii przeciwlotniczej przebywali niecałe pół godziny. Tymczasem my — aby zbombardować zaplecze przemysłowe Niemiec — musieliśmy latać daleko w głąb kontynentu. Nasze bombowce zapuszczały się aż po Turyn. Lot trwał 10 godzin. Zaczynał się wieczorem, ale już przed świtem musieliśmy dotrzeć do kanału. Nad kontynentem groził przecież atak artylerii przeciwlotniczej. Zdarzało się, że lotnik, który wyleciał nawet przy najlepszej pogodzie i wykonał zadanie bojowe, po powrocie nie mógł wylądować. Mgła zabrała setki ofiar.

Powołano nawet specjalną placówkę pod nazwą FIDO, której zadaniem było badanie mgły i opracowanie środków jej usuwania. Jej pracami kierował profesor Mazur. Walka z mgłą przypominała zmaganie z siedmiogłowym smokiem. Nic się jej nie imało: ani ultradźwięki, ani wyładowania elektryczne, ani substancje osuszające...

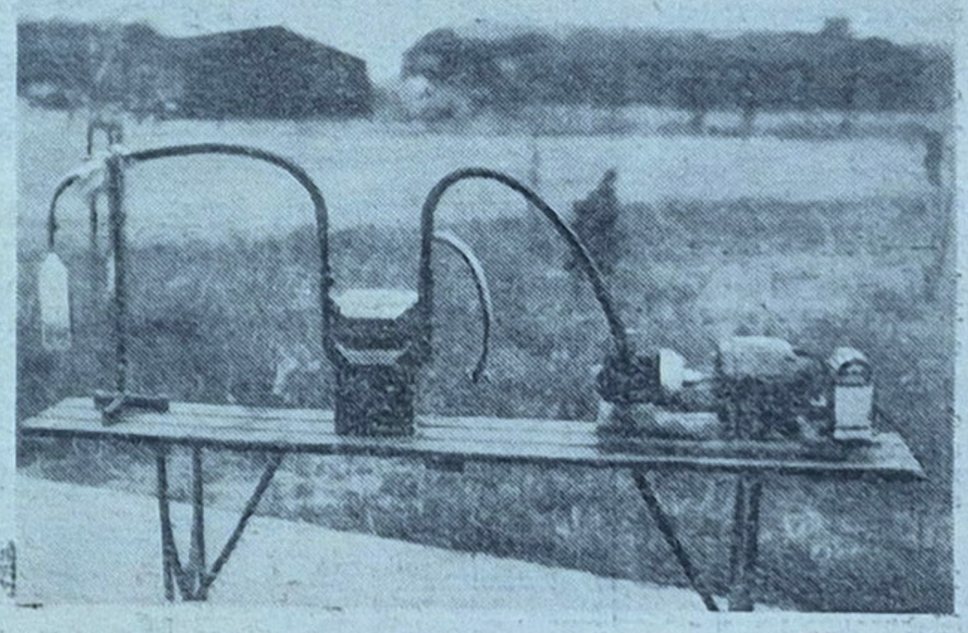

Aparat do pobierania i rozdzielania kropelek mgły według wielkości

PŁONĄCY TUNEL WE MGLE

Pomysł profesora Mazura był genialnie prosty, choć bardzo kosztowny. Lekarstwem na mgłę może być jedynie... ciepło. Profesor zaproponował, aby na trzech lotniskach południowej Anglii zbudować specjalne pięciokilometrowe pasy startowe, stumetrowej szerokości. Po obu stronach takiego pasa instalowano rury z płonącą benzyną. Ciepłe powietrze podnosiło mgłę na wysokość 50 metrów. Tak powstawał korytarz o doskonałej widoczności.

Lądowanie w tym tunelu sprawiało dziwne wrażenie. Ocean bieli i ciszy. Tylko sygnał radiowy wskazywał, że istniało coś poza mgłą.

Lotnisko już niedaleko. Ukazuje się wreszcie wąska, szara szczelina. Z wysoka wygląda jak ostrze noża, który przeciął mgłę. Samolot schodzi niżej. Szczelina rozwiera się nagle. To szeroki pas startowy otoczony z obu stron szpalerem płomieni.

Na takim pasie oczyszczonym z mgły mogły wylądować w ciągu godziny setki maszyn. Z nich startowały bombowce w najgorszych warunkach.

Pomysł profesora Mazura przyczynił się do klęski niemieckiej kontrofensywy w Ardenach. Działania hitlerowskie w tym rejonie miały na celu przedarcie się do Belgii i Holandii i rozbicie stacjonujących tam wojsk alianckich. Dowództwo niemieckie wiedząc, że Anglię spowija mgła nie spodziewało się silnych nalotów bombowych. Przyznał to sam głównodowodzący ofensywą w Ardenach, zbrodniarz hitlerowski feldmarszałek von Rundstedt.

Prace profesora Mazura spotkały się z uznaniem ze strony najwyższych władz Wielkiej Brytanii. Premier Churchill oświadczył w parlamencie, że dzięki nim ocalały tysiące lotników i cztery tysiące maszyn. Król Jerzy VI uściskiem dłoni wyraził wdzięczność naszemu uczonemu.

— FIDO było naszym zbawieniem — powiedział generał Skalski.

Trudno o większą pochwałę.

MARIA WRÓBLEWSKA
Zdjęcia: Prof. dr J. Mazur
Rys. J. Rocki

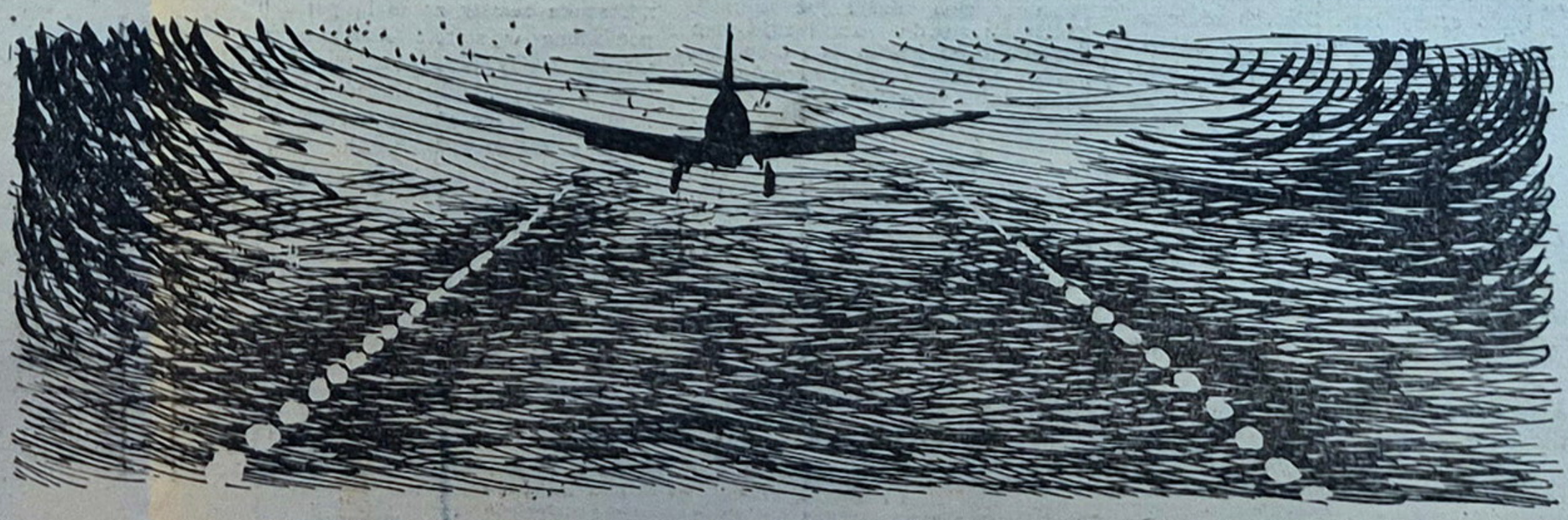

MOST

Kazimierz Gutaker (4)

Wreszcie przejście było wystarczające. Szkuty ustawiły się w jeden rząd i jak karne oraz dumne stado łabędzi przeszły przez bramę, która im otwierała drogę do Płocka i Gdańska. Rybacy, piaskarze, zgromadzeni na brzegu ludzie, wymachiwali rękoma do żeglarzy.

— Szczęśliwego rejsu! — wołano.

— Nie dajcie się oskubać kupcom w Gdańsku! — krzyknął z mostu jakiś zapalczywy szlachcic, ale nikt nie podjął jego wezwania, które choć słuszne, mąciło radość chwili.

Szyprowie i majtkowie stali na pokładach szkut wyprostowani, dumni, chętnie przyjmując hołdy, które należały się Erazmowi z Zakroczymia i jego majstrom oraz cieślom. Gdy most zaczął się za statkami zamykać, załogi szkut skupiły się na rufach, aby oglądać widowisko do końca. Wkrótce ruchome przęsło wróciło na swoje miejsce i w obie strony mostu znów ruszyły gromady ludzi pochłoniętych swoimi sprawami.

— Taka masa drewna, a otwiera się i zamyka równie łatwo jak furtka od ogrodu — rzekł Figenow nie tając podziwu.

— Udaną konstrukcję stworzył mistrz Erazm — powiedział pod wrażeniem oglądanego przed chwilą widoku. — Podziwiam ludzi tworzących rzeczy śmiałe i oryginalne.

— Wydaje się, że ma pan powody do zadowolenia także z siebie — rzekł, śmiejąc się, Figenow.

— Przecież niczego nie stworzyłem.

— Jak to? Bierze pan udział we wznoszeniu śmiałej konstrukcji. Mam na myśli most między Francją a Polską — rzekł kapitan.

— Oby tylko nasze starania dały dobre wyniki — odpowiedziałem oględnie, obawiając się, iż mój optymizm mógłby okazać się przedwczesny.

— Najważniejsze są te mosty, które przerzuca się między ludźmi — odezwał się nagle Zbigniew.

— Tak, te są najważniejsze — zgodziłem się z nim.

— A ja, póki co, jestem rad — rzekł ni to rubasznie, ni to zapalczywie kapitan Michał — że stoję dziś na tym moście i czuję pod nogami jego pokład, jakby to był okręt. Z innych krajów powinni do Warszawy przyjeżdżać, aby oglądać ten most. Niech wiedzą, że pierwsi stworzyliśmy taką konstrukcję.

Zbigniew w milczeniu patrzył na rzekę, gdzie statecznie przesuwały się pękate łodzie piaskarzy. Zdawało się, że jest całkowicie pochłonięty obserwowaniem tamtych ludzi, słuchaniem pieśni, które śpiewali podczas pracy. Nagle oderwał wzrok od rzeki i patrząc na kapitana niepewnie, z zakłopotaniem, powiedział głosem niemal pokornym:

— Niech pan wybaczy, kapitanie, ale nie potrafię zapomnieć o Komisji Morskiej.

— Nic dziwnego, ja także dobrze pamiętam owe cztery lata jej owocnej działalności — rzekł Figenow, obserwując młodego Sierpinka uważnie, bo nie był pewien jego intencji.

rys. M. Kościelniak

— Myślę o tym — powiedział Zbigniew — że Komisję Morską także stworzyliśmy pierwsi. Żaden kraj nie miał takiej admiralicji jak nasza. Ale co z tego, kiedy działała tylko cztery lata. Dlatego zdaje mi się, że nie jest ważne, czy coś robimy pierwsi. Ważne jest czy robimy dobrze, czy potrafimy swój zamiar doprowadzić do końca.

— Znów mędrkujesz — mruknął niechętnie Figenow. — Lepiej zająłbyś się czymś pożytecznym zamiast ciągle dumać. Słuchać już twoich kazań nie mogę.

Ruszyliśmy w kierunku Warszawy. Karoca, z której został wyciągnięty dyszel, stała jeszcze po środku mostu. Stangret kończył zaprzęgać konie. Nagle w okienku wozu mignęła mi twarz jakby znajoma. Gdzie ją widziałem? Pociągła, blada, z pręgą na policzku. Oczy czarne, patrzące w świat z wyrazem posępnego skupienia i napiętej czujności. Już wiem. Gdańsk, uliczka przed domem holenderskiego browarnika. To szpieg duński, którego mi wskazał Figenow.

Powiedziałem kapitanowi o swoim spostrzeżeniu. Nie okazał zdziwienia, nawet nie spojrzał w stronę karocy.

— Widziałem go na polu elekcyjnym — rzekł. — Kręci się między namiotami, obserwuje, ale do nikogo się nie zbliża. Robi na mnie takie wrażenie, jakby wciąż na coś czekał. Zdumiewa mnie jego cierpliwość, a także zręczność. Depce mi po piętach, a kiedy próbuję się do niego zbliżyć, znika jakby się w ziemię zapadł. Kasztelana Kostkę również prześladuje. Zupełnie jakby umiał się dwoić i troić.

Karoca właśnie przejeżdżała koło nas. Zasłony w oknach były odchylone. Nagle ogarnęła mnie chęć sprawdzenia czy i tym razem tajemniczy cień zdążył już zniknąć. Zbliżyłem się do wozu i zajrzałem dyskretnie do środka. Nie było tam nikogo. Wtedy zapytałem stangreta, gdzie zgubił swojego pasażera. Woźnica wzruszył tylko ramionami i mruknął:

— Nie moja sprawa.

Wkrótce znaleźliśmy się w murach miasta. Po dniach spędzonych na elekcyjnym polu, wśród kurzu i gwaru, tłoku, z przyjemnością łaziliśmy jego cichymi, malowniczymi uliczkami. Po obejrzeniu barbakanu i zwiedzeniu kościołów wylądowaliśmy w winiarni. Wyborny miód sprawił, że kapitan rozchmurzył się i przestał strofować Zbigniewa, całą swoją uwagę skupił natomiast na ładnych i zalotnych dziewczynach, które pomogały służącym w podawaniu do stołów. Odniosłem wrażenie, że jedynym miejscem na świecie, mogącym mu zastąpić okręt, jest winiarnia. Mając widok na ogromne beczki, z których leje się złocista struga mocnego trunku, jest w stanie przeboleć chwilową rozłąkę ze słonymi wodami Bałtyku.

— Za warszawianki! — wzniósł toast, który zaraz podchwycono z wielką ochotą przy innych stołach.

— Za Warszawę i jej piękny most! — zawołałem ja z kolei.

I ten toast sala przyjęła z poparciem. Puchary i kubki zostały wychylone do dna. Zapanowała ogólna wesołość. Nie mając możliwości podziwiania mostu, zachwycano się urodą i wdziękiem warszawskich dziewcząt. Nagle jednak poprzez śmiech i gwar licznych głosów przebił się z kąta winiarni okrzyk:

— Wypijmy za trójkę cieśli!

Większość gości stanowili szlachcice. Toast za cieśli nie wydał się im odpowiedni. Chcieli jednak dowiedzieć się o jaką trójkę chodzi owemu człowiekowi i jaki jest powód do uhonorowania rzemieślników. Gwar ucichł. Wszystkie oczy skierowały się w róg sali, ku szlachcicowi, w którym rozpoznałem naszego przypadkowego znajomego z mostu. Tego, który usiłował nas przekonać, że warszawski most ma służyć tylko do oglądania widoków.

— Możemy wypić nawet za diabła, jeżeli jest szlachetnie urodzony — zawołał śmiejąc się do rozpuku jeden z obecnych, a sala zawtórowała mu głośnym śmiechem.

— Cieśle, o których wspomniałem, podają się za szlachciców — rzekł podnosząc się znad stołu nasz przygodny, kłótliwy znajomy. — Ale nie jestem pewien czy mówią prawdę. Wiem tylko tyle, że na ciesielce się znają. Sam widziałem jak na moście żwawo się uwijali. Gdy pod ręką nie było desek, chwytali nawet za dyszle od wozów.

Przez winiarnię znów przetoczył się gromki śmiech. Idąc za wzrokiem szlachcica, goście skierowali spojrzenia w naszą stronę. Już zdawałem sobie sprawę, że awanturnik szuka zemsty za małą porażkę poniesioną w starciu słownym na moście. Kiedy uświadomiłem sobie jego głupotę i nikczemność, krew napłynęła mi do głowy, a ręka zaczęła szukać drogi do szabli.

— To oni! — krzyknął awanturnik, wskazując nas palcem, aby nikt nie miał wątpliwości o kogo mu chodzi.

C.d.n.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy tel 29-35-52. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, tel. 26-75-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch" 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa RSW „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch" 00-840 Waszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039

Zam. 4873 R-83

Reżyser ANNA SOKOŁOWSKA jest absolwentką wydziału reżyserskiego Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, realizatorką filmu według książki Jerzego Broszkiewicza pt. „Wielka, większa, największa", w którym także grały dzieci. Drugim filmem była „Beata" z Polą Raksą w roli tytułowej. Film ten uzyskał parę nagród za granicą i w Polsce. Ostatnim przed „Bułeczką" był film pt. „Julia, Anna, Genowefa".

Czekamy NA „Bułeczkę"

Bułeczka nie pozwala zadeptać dżdżownicy.

Mglisty świt, na bezlistnych jesiennych drzewach wiszą kropelki deszczu. Błotnistą drogą od strony wsi jedzie wóz. Pod wielkim czarnym parasolem siedzi pan Sitek i Bułeczka. Słyszymy muzykę i głos narratora, który mówi:

„Dawno, dawno temu żyła sobie w małej wiosce biedna sierotka. Tak zwykle zaczynają się bajki, a my Wam opowiemy prawdziwą historię o dziewczynce, którą wszyscy nazywali Bułeczka."

— Tak zaczyna się film — mówi reżyser, pani Anna Sokołowska. — Autorką książki, na podstawie której powstał scenariusz, jest Jadwiga Korczakowska. Powieść miała cztery wydania, a wkrótce ukaże się piąte, co świadczy o jej dużej popularności wśród dzieci.

Bohaterka jest dziewczynką, która okazuje wszystkim ludziom swoje dobre serce i oczekuje od nich tego samego. W życiu bywa jednak inaczej...

— Więc jest to historia prawdziwa?

— Bułeczce pomaga w trudnościach życiowych szmaciana laleczka — Czaroduszka — jest więc i trochę fantazji.

— Prawie każdy z nas ma swojego dobrego duszka... Jedni liczą na jego pomoc podczas trudniejszych klasówek, zwierzają mu tajemnice. Może pani także posiada jakiś talizman?

Pani reżyser bez słowa wyjmuje z torebki filcowego krasnoludka. Od przebywania w ciasnym portfelu krasnal ma zgnieciony nos, spłaszczoną czapkę.

— Nazywa się Zygmunt Bazyli — wyjaśnia. — Wszędzie ze mną jeździ...

„Bułeczkę" zaczęliśmy kręcić wiosną, kiedy jeszcze na drzewach nie było liści. Pracowaliśmy przez cały maj i czerwiec. Zdjęcia były robione we Wrocławiu i w Górach Sowich, w Jedlinie. W roli głównej bohaterki-Bułeczki — wystąpiła Kasia Dąbrowska, uczennica trzeciej klasy Podstawowej Szkoły Muzycznej w Warszawie. Dziunią — dziewczynką nieznośną i samolubną, z którą Bułeczka ma się wychowywać w domu wujostwa, jest Dorota Orkiszewska, wrocławianka. Obie dziewczynki są nieco starsze, niż wymagała tego fabuła powieści i scenariusza. Powód był bardzo ważny: po pierwsze obawialiśmy się, czy sześcioletnie dziewczynki podołają zadaniu. Trzeba przecież wstawać rano i nie grymasząc ubierać się w kostium filmowy, a poza tym należy umieć tekst... A więc lepiej, żeby małe aktorki potrafiły już samodzielnie czytać i dobrze rozumiały to, czego wymaga od nich rola. Drugi powód był równie ważny. Jak wiadomo dzieciom w tym wieku wypadają mleczne zęby. A ponieważ praca nad filmem trwała dwa i pół miesiąca, w ciągu tych tygodni zamiast pustego miejsca po mlecznym zębie mógł się pojawić już nowy i wyglądałoby to podejrzanie.

Początkowo mieliśmy spore kłopoty, gdyż podczas robienia zdjęć w ciasnych wnętrzach, przy silnym blasku reflektorów, już koło południa obie dziewczynki były bardzo zmęczone. Bolały je oczy, zapominały tekstu. Musieliśmy zwolnić tempo. Niektórzy sądzą, że do filmu wystarczą same zdolności i fotogeniczna twarz. A tymczasem zadaniu temu mogą podołać tylko bardzo wytrwałe dzieci, mające dużą umiejętność skupienia się i chęć robienia wszystkiego coraz lepiej. Ujęcia powtarza się bowiem wielokrotnie, a to jest ogromna sztuka, za każdym razem starać się grać lepiej niż na piątkę.

— Rodzice Dziuni często przebywają poza domem. Dziewczynkami opiekuje się gosposia, tak jest w książce, a w filmie?

— Gosposia wydaje się niesympatyczna i zła, okazuje się, że jednak jest dobra. Nie takim znów najgorszym chłopakiem jest też i Karol — sąsiad dziewczynek. W roli tej wystąpił Jacek Bohdanowicz, obecnie już licealista z Wrocławia. Rodzice Dziuni to Barbara Wrzesińska i Andrzej Żarnecki, gosposia — Antonina Barczewska. Rodzicami Karola są Teresa Lipowska i Tomasz Zaliwski.

— A kogo zobaczymy jako weterynarza Mikołaja, przyjaciela Bułeczki?

— Jest nim Leonard Pietraszak, ten sam, którego poznamy w telewizyjnym serialu pt. „Czarne chmury". W domu Mikołaja Bułeczka spotyka wiele zwierząt. W filmie biorą udział i żółw Feluś i pies — bokser, imieniem Tell, papużki nierozłączki, rybki, świnka morska, kot syjamski oraz mnóstwo owieczek; Mikołaj jest przecież lekarzem weterynarii...

— Dzieci — a „Bułeczka" przeznaczona jest dla raczej młodszej widowni — nie lubią, gdy film źle się kończy.

— Bułeczka ucieka z domu wujostwa, czuje się pokrzywdzona, zapomina, że tym samym krzywdzi też swoich opiekunów. Dopiero, kiedy Dziunia zaczyna chorować, przekonuje się, że oprócz jej własnych zmartwień i kłopotów są na świecie sprawy jeszcze ważniejsze. Sprawy innych ludzi. Cała historia kończy się pomyślnie.

— Kiedy zobaczymy „Bułeczkę" w kinie?

— Premiera odbędzie się pierwszego dnia ferii zimowych. Film jest kolorowy, trwa niespełna półtorej godziny. Autorem zdjęć jest Jacek Korcelli, scenografię projektował Andrzej Płocki, muzykę napisał Maciej Małecki.

— Dziękujemy za rozmowę i czekamy na „Bułeczkę"!

Rozmawiała:
A. GRZYBOWIECKA

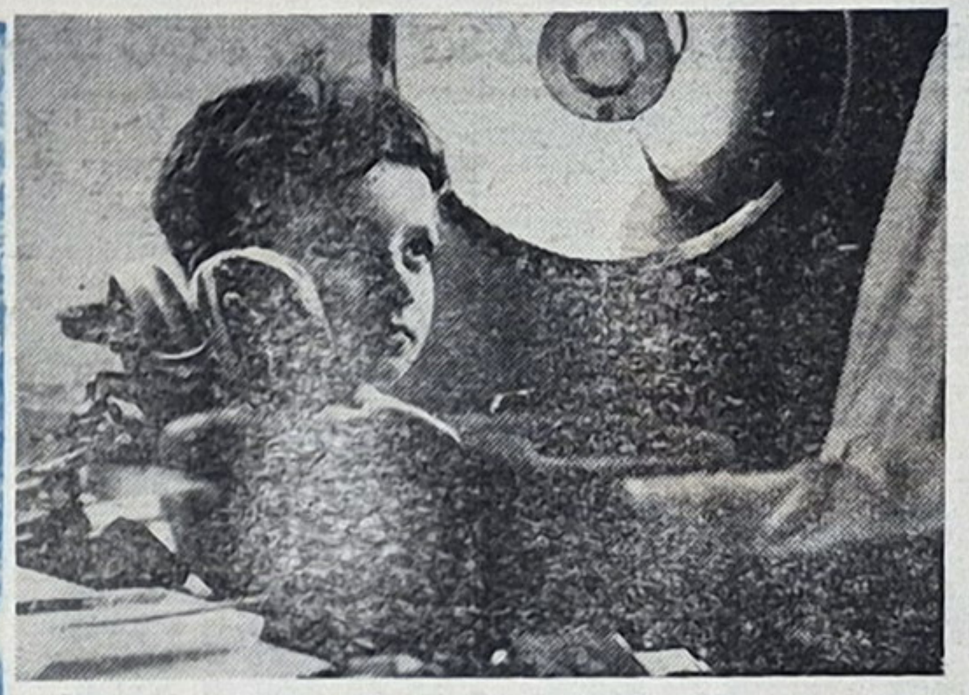

Czy będzie bolało? Fotel dentystyczny nie jest takim znów najmilszym miejscem na ziemi.

Bardzo przykra historia... Karol dostaje w skórę od swego taty, ale chyba słusznie, gdyż bardzo dokuczył Bułeczce!
Foto: Jerzy Szurkowski

ŚWIETLIKI ZAMIAST LAMP?

Od dawną naukowcy szukają sposobów wyprodukowania sztucznego „zimnego światła" — promieniowania ograniczonego wyłącznie do tych długości fal, na które wrażliwa jest siatkówka ludzkiego oka, nie trwoniącego zaś energii w postaci ciepła ani promieniowania niewidzialnego. Gdyby znaleziono na to sposób, to koszty oświetlenia poważnie by się zmniejszyły.

Tę ideę realizują częściowo świetliki, które wydzielają tylko widzialne światło. Z tego punktu widzenia owad ten, jak każdy inny rodzaj zwierząt świecących, jest w samej rzeczy bardzo wydajny. Być może, że świetlik produkując światło wytwarza nieco ciepła, ale zbyt mało by je zmierzyć. Można śmiało powiedzieć, że 100 proc. tej drobnej ilości promieniowania przynależy do widzialnej części widma, przy czym większość jego stanowią fale krótsze niż te, które wywołują wrażenie niebieskiego światła. Mamy tu najwyższą wydajność znaną nauce. Chemicy potrafią odtworzyć ten proces tylko w określonym zakresie. (jk)

NOWOŚCI KLUBU SIEDMIU PRZYGÓD

MINĘŁO ŁADNYCH PARĘ LAT, gdy w witrynach księgarskich ukazały się książki Naszej Księgarni z charakterystycznym znaczkiem i napisem: KLUB SIEDMIU PRZYGÓD. Była to jedna z pierwszych serii wydawniczych, które pojawiły się na młodzieżowym rynku książkowym. Wkrótce te książki okazały się niesłychanie popularne wśród młodych czytelników. I nic się nie zmieniło przez tych kilkanaście lat, bo i dzisiaj niektóre tytuły wznawiane są kilkakrotnie.

Z książek, które wydano w tym roku, po raz wtóry ukazała się „Powódź" Jerzego Szczygła. Jest to nie tylko dramatyczna relacja z wysadzania przez saperów lodowego zatoru na Wiśle pod Starogrodem. To prawie powieść awanturnicza: główny bohater śledząc kłusownika rozpoznaje w nim przestępcę poszukiwanego listem gończym przez milicję...

Wznowieniem jest również „Nasturcja i Lew" Aleksandra Minkowskiego. Zdarzenia opisane w książce rozgrywają się w niezwykłej scenerii — zamek z legendą o Białej Damie, zarośnięte zielskiem ruiny klasztoru. Właśnie podziemia klasztoru kryć będą odpowiedź na pytanie, jak to naprawdę było z dwójką partyzantów więzionych przez niemieckich żandarmów. Zniknęli z aresztu. Wojna skończyła się, przeszło wiele lat, a tajemnica pozostała tajemnicą. I jeszcze ten mrukliwy leśniczy — niechętny do zwierzeń odludek. Artek nieprędko rozwiąże tę zagadkę.

I jeszcze jedna ciekawa pozycja biblioteczki „Klubu Siedmiu Przygód": Stanisława Piątówna — „Telefon Zaufania". Z zapartym tchem śledzi się rozwój wypadków. Wśród wielu telefonów lekarz dyżurny przyjął także ten od załamanego psychicznie chłopca. Jak w dużym mieście odnaleźć anonimowego rozmówcę? To wyścig ze śmiercią. Doktor Werner podejmuje się tego zadania świadom, że liczy się każda sekunda. Kto wygra? Jak potoczą się wypadki? Sięgnij po tę książkę. Warto.

(MK)

J. Szczygieł — „Powódź", Nasza Księgarnia: Warszawa 1973 — cena 16 zł.

A. Minkowski — „Nasturcja i Lew", Nasza Księgarnia, Warszawa, cena 19 zł.

S. Piątówna — „Telefon Zaufania", Nasza Księgarnia, Warszawa, 1973, cena 17 zł.

„Moja pasja – to wiatraki"

— mówi 23-letni twórca miniatur, mieszkaniec Olsztynka, Zbigniew Daszkiewicz. Ma zresztą w tej właśnie dziedzinie dostępne wzory w pobliskim i znanym skansenie.

Pan Daszkiewicz uprawia również modną ostatnio „korzenioplastykę" i rzeźbi w drzewie. *Foto: CAF*

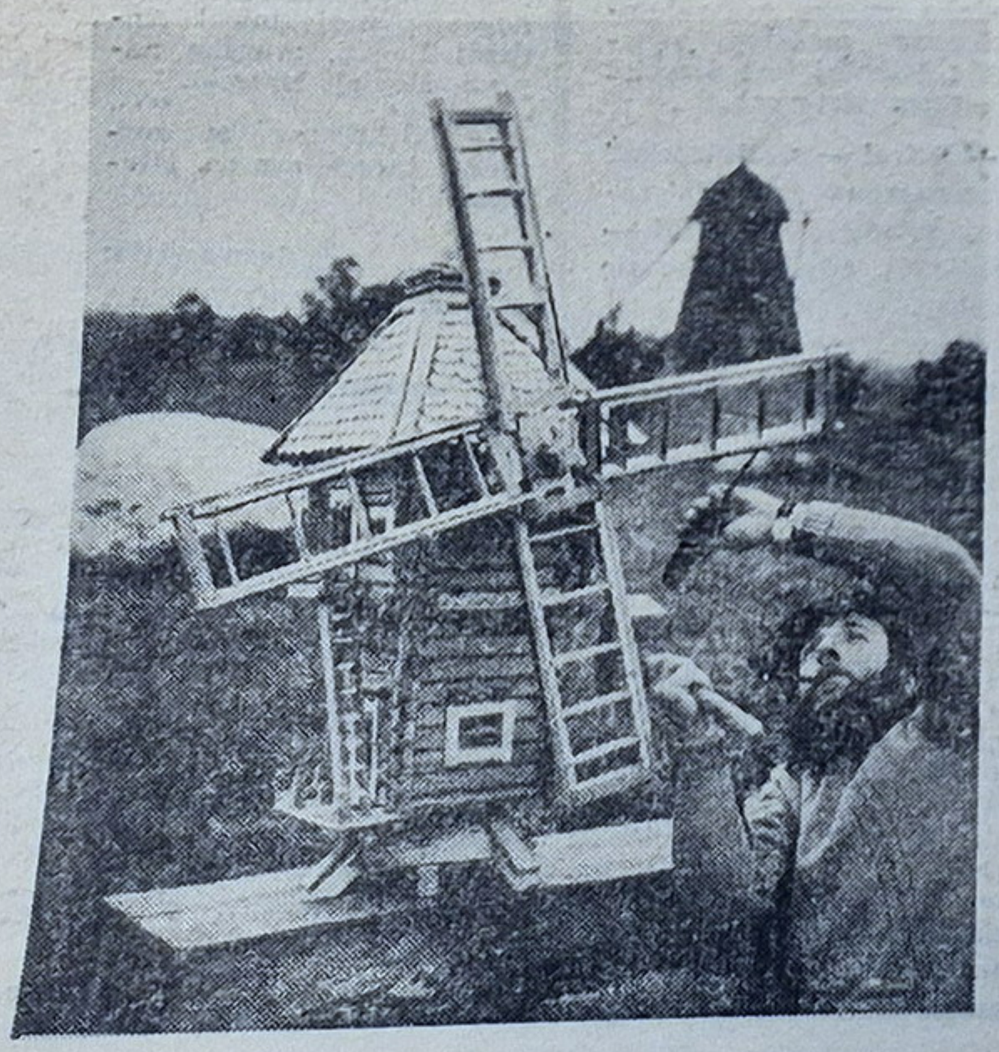

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

„Indianie z plemienia Taulipag twierdzą, że psy są przewodnikami ludzkich dusz zdążających do Krainy Śmierci. Odprowadzane są jednak tylko dusze tych, którzy za życia byli dobrzy dla psów. Dusze złych właścicieli są zagryzane i życie pozagrobowe nie jest dla nich osiągalne..."

„...I tak jest z całą pewnością — piszę w liście do mnie Iwona Straszyńska — **a jeśli nie, to tak właśnie być powinno!..."**

Iwona cały swój długi list poświęciła sprawie psów podwórzowych, które bardzo często są źle traktowane przez właścicieli. A oto apel Iwony:

...Idzie zima, a budy naszych piesków przeważnie nie są odpowiednio ocieplone. Wyobraźmy sobie, jak bardzo cierpi zwierzę nie mające schronienia przed zimnem! Weźmy się do pracy: zaopatrzmy psie budy w świeże siano i długie łańcuchy. Ustawmy je w zacisznym miejscu. Zadbajmy, żeby nasz pies nie był głodny!

— Rzepie — pisze na zakończenie Iwona — nie gniewaj się, że zamiast dowcipu wyszperałam dla Ciebie rysunek przedstawiający wzorową psią budę.

Gorąco popieram apel, zamieszczam rysunek i jestem pewien, że dusze moich Czytelników nie będą pozagryzane!

Polecam Wam wszystkim książeczkę pana Dąbrowskiego pt. „MAM PSA", z której Iwona wyszperała cytat o Indianach i rysunek psiej budy

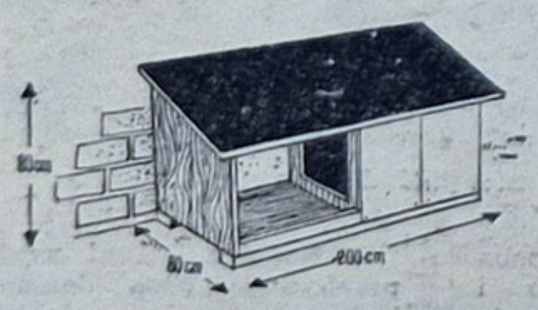

Oto kilka dziwnych rysunków, które wymyśliłem i narysowałem sam. Zanim przeczytacie umieszczone na dole podpisy, spróbujcie odgadnąć co przedstawiają.

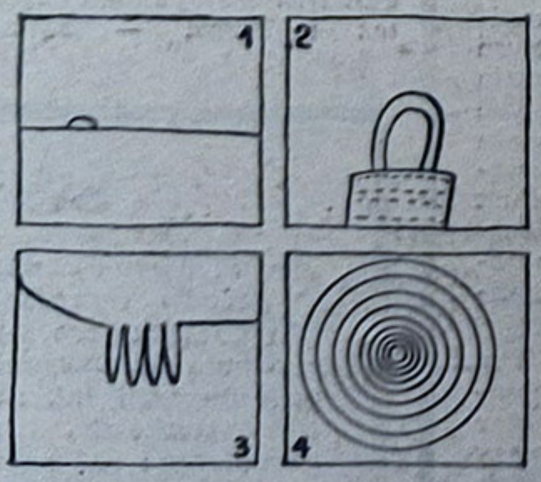

1) Dynia ukryta częściowo za horyzontem.
2) Górna część „Orderu Podwiązki".
3) Portret krowy (fragment).
4) Odcisk palca Kopernika.

Pozdrawiam Was serdecznie i czekam na listy

Wasz RZEP

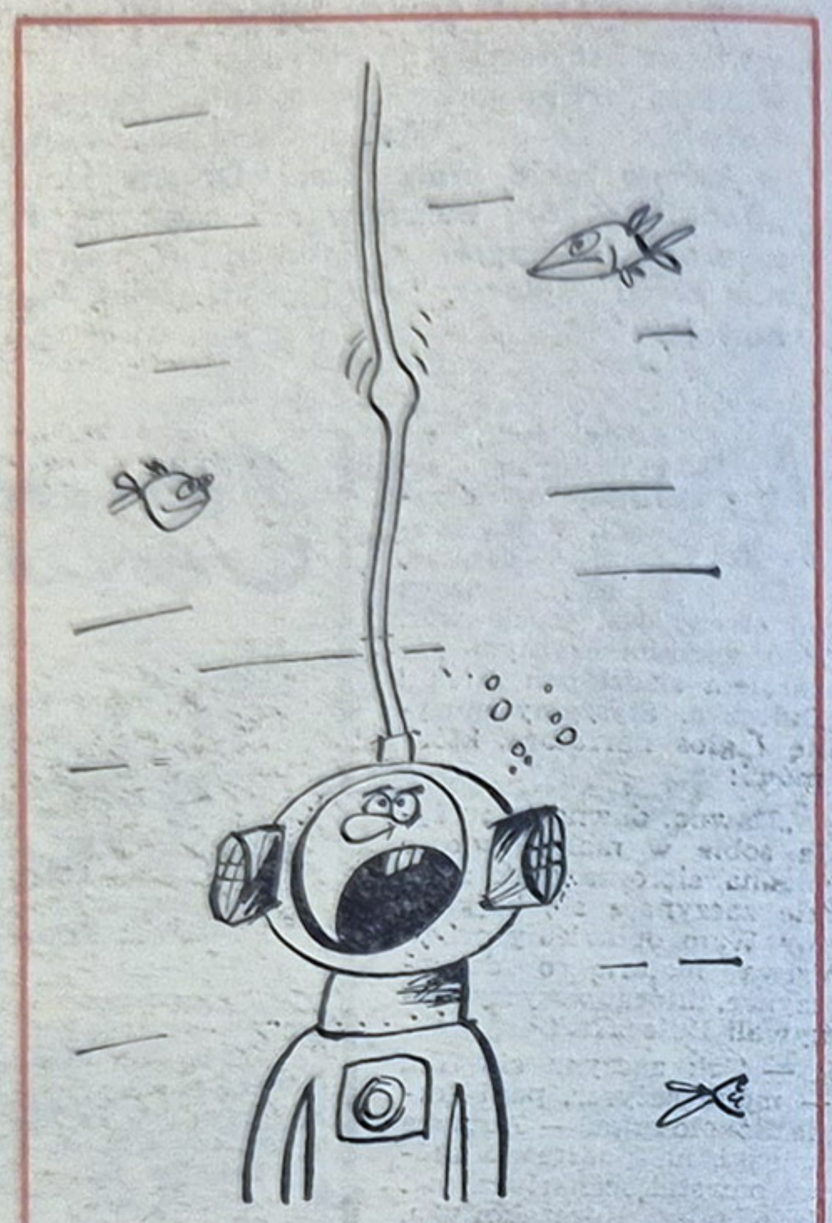

— Nieee! Ja nie chcę żadnych pomarańcz!...

RZEP - KLUB

Przyjmuję do Klubu Staszka Kopcewicza, który przysłał mi ogromną kolekcję humorów rysunkowych, zbieranych przez niego, jak pisze — „od lat". Z kolekcji Staszka wybrałem dwa dowcipy marynarskie.

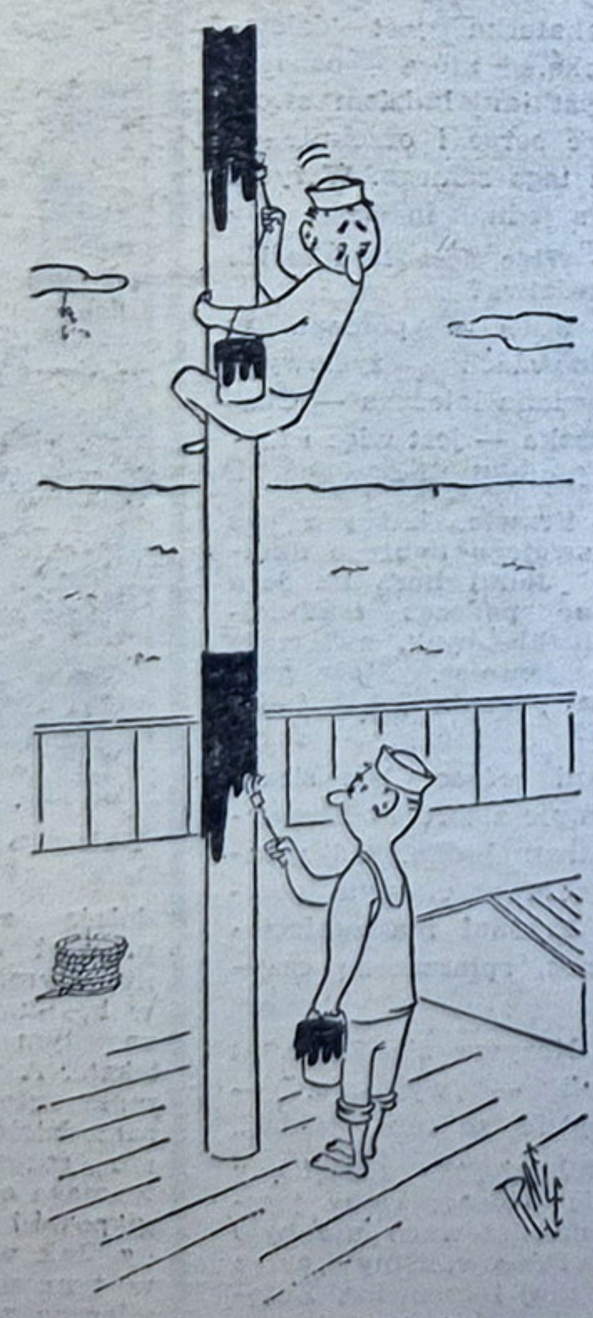

— Wyobraź sobie, złapałem kiedyś taką rybkę...